

# „WESELE” i JUBILEUSZ

MIAŁEM pisać o jubileuszu krakowskiego Teatru im. J. Słowackiego. Ze jubileusz bardzo zasłużony, choć obchodzi się go — wzorem Ludwika Solskiego — co pięć lat. Ze Kraków zawsze lubił jubileusze, ale dziś te upodobania rozszerzyły się na cały kraj. Ze w ciągu 75 lat istnienia Teatr im. J. Słowackiego — od Pawlikowskiego do Dąbrowskiego — miał okresy o niezwykle cenny ładunku artystycznym i obywatelskim. Ze były to zawsze okresy łączące pietyzm dla klasyki narodowej z wrażliwością na współczesną twórczość dramatyczną, polską i obcą. Ze — to już względem całkiem osobisty — do sceny tej czuję szczególnie sentyment jako do teatru mojej uniwersyteckiej młodości. Ze obchody jubileuszowe przebiegały w należytym uroczystym nastroju. Ze otwarto równocześnie muzeum teatralne zawierające wiele bardzo interesujących eksponatów. Ze wszystkiemu

patronował inny tegoroczny Wielki Jubilat, Stanisław Wyspiański tak ściśle związany — a potem skłócony — z tym teatrem. Ze pokazano przedstawienie „Wesela”, którego historyczna prapremiera odbyła się na tej samej scenie 68 lat temu.

Właśnie to „Wesele” przyćmiło wszystkie uroczystości. O obchodach zapomni się — do następnego jubileuszu. O „Weselu” w reżyserii Lidii Zamkow — nie. Bedzie ono — jak sądzę — stanowiło pozycję historyczną w dziejach scenicznym tego arcydramatu. Dla mnie było to najpiękniejsze „Wesele”, jakie widziałem na scenie. I najbardziej jasne, najbardziej klarowne w pokazaniu myśli utworu i w ogólnej koncepcji. Choć na pewno są w nim rzeczy sporne, dyskusyjne, niekonsekwentne. Może nawet wzbudzić zasadniczy sprzeciw co do całości pomysłu inscenizacyjnego. Ale przy następnych inscenizacjach „Wesela”

trudno będzie nie wziąć pod uwagę tego, co zrealizowała Lidia Zamkow.

Najogólniej rzecz biorąc można powiedzieć, że jest to „Wesele” realistyczne, starające się trzymać prawdopodobieństwa życiowego, a jednak uskrzydłone poezją. Cudowną poezją, która płynie z tej chałty roświeconej, rozśpiewanej. Pierwszy akt jest olśniewający. Prawdziwe wesele na wst. Temperamenty grają alkohol działa, nastroj nasycony erotyką bitki i starcia słowne. Prawie nieustannie dźwięki stylizowanego oberka, przez szpary w ścianie migają w tańcu kolorowe sukmany. Tańczące pary raz po raz przelatują przez scenę. Do zastawionego stołu podchodzą goście, piją wódkę, coś tam zagryzają, rozmawiają. Wszystko toczy się w płynnym, konwersacyjnym tonie, w świetnym rytmie, ze znakomitą wypunktowaniem poszczególnych scen. I ostro pokazany kontrast dwóch

światów: chłopi, prawdziwi, nie z Cepelli — wspomnienia z buntów i panowie z miasta — poza, niemożność, pustka.

To wszystko zagrą wyrażnie w dwóch następnych aktach, które są naturalną kontynuacją tamtego, pierwszego. W „osobach dramatu” czyli zjawach Zamkow wyciągnięta ostateczne konsekwencje z faktu, że są one projekcją nysli czy wizją poszczególnych postaci. Ujęła je jako sny i majaki. „Osoby dramatu” nie istnieją. Ich tekst przejmują postacie, którym się one sniły. Za każdym razem dzieje się to w inny sposób na zasadzie innego pomysłu. Dziennikarz wkłada na głowę czapkę bladeńską ze złożonego numeru „Czasu” i sam z sobą przeprowadza dyskurs stańczykowski, towarzyszą mu przy tym trzej inni Dziennikarze-Stańczycy, identyczni, identycznie się zachowujący i niemi. Wymowa tej sceny jest ostra i szydercza. Poeta pisze po prostu poemat, w którym się zmienia wizja Rycerza. Pochylony i złamany we dwoje Dziad wyprostowuje się w potężnego i okrwawionego Szele. I tak dalej. Także Wernyhora jest snem Gospodarza i zostawia złoty róg istniejący tylko we śnie. Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego czy fantas-

tycznego. Po prostu zwykli sny ludzi zmożonych alkoholem i zabawą. Sny, w których wychodzi co się komu w duszy gra. Zapewne poetyka teatralna Wyspiańskiego jest inna. Poetyka pomieszania postaci fantastycznych z rzeczywistością, bez troski o to, co z nimi potem zrobić i jak logicznie rozwiązać konsekwencje ich pojawienia się. Lidia Zamkow przenosi zjawy do innej poetyki, wprowadza racjonalistyczny porządek, umieszcza wszystko w kategoriach życiowego prawdopodobieństwa. Daje to nowe zaskakujące efekty.

Z tym prawdopodobieństwem wylaniają się już pierwsze trudności przy złotej podkowie zgubionej przez Wernyhora, ale i z tego reżyserka jakoś znośnie wybrnęła. Natomiast nie było rady z finałem. Tu martwoty i skamienienia całego towarzystwa nie można umotywić logiczną logiką. Nagle przechodzimy w sferę symboliczną inną niż dotychczasowy bieg przedstawienia. W dodatku Isia, która spełnia rolę Chochoła, nie może narzucić się tak sugestywnym obrazem jak on sam — martwa, słomiana pokrywa. Za to pewną rekompensatą jest kapitalny efekt końcowy: senny taniec

chocholi stopniowo przechodzi w posuwisty polonez, okrążający parokrotnie scenę. I jednak wychodzimy z mocnym wrażeniem końcowym — jak zawsze w „Weselu”.

Przedstawienie jest długie. Trwało na premierze prawie cztery godziny. Choć nie nudziłem się ani przez chwilę, taka dawka wydaje się za duża. Pewne skróty i przyspieszenia tempa znalazła w akcie drugim i trzecim przydałyby się i są możliwe. Pod względem aktorskim spektakl jest bardzo staranny. Różni aktorzy grają lepiej lub gorzej ale nie ma tam roli puszczoney, każda postać zapisuje się w pamięci. Na największe pochwały zasłużyli: Teresa Budzisz-Krzyżanowska (Rachel), Leszek Herdegen (Poeta), Andrzej Mrowiec (Jasiek). Ale muszą też być wymienieni z wysokim uznaniem: Maria Malicka (Rudczyni), Helena Chaniecka (Klimina), Włodzimierz Saar (Czepiec), Kazimierz Witkiewicz (Gospodarz), Wacław Zietarski (Pan Młody), Roman Stankiewicz (Żyd). I jeszcze inni... To przedstawienie zasługuje na dokładne opisanie, ale nie na tym miejscu. Nie piszę recenzji. Chciałem tylko zasugerować, że siłą się coś ważnego w naszym tegorocznym sezonie teatralnym.